

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1847.

Poznań, dnia 11. Stycznia.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydana jest rycina mąd paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Było, a poniekąd jest jeszcze zasada, że dobry byt i bogactwo są zepsuciem rodzaju ludzkiego. Nauczyciele religii wykazywali, jak przy dobrym bycie trudno się utrzymywać na drodze prawej, filozofowie błogą nazywali tylko mierność, historycy dowodzili, że wszystkie narody tak tylko długo wzrastały, były sprawiedliwymi, pracowitemi, chodziły około oświaty, uznawały równość, dopóki były ubogimi. Dobry byt i dostatki miały zawsze wnieść zepsucie i obalić każde znakomite społeczeństwo. Zapatrując się atoli głębiej na tę okoliczność dostatków, pokaże się, że one w tém całym złém, były rzeczą zupełnie obojętną; że wtedy, kiedy po narodach błyszczały bogactwa, narody były nawet uboższymi niż dawniej; że zguba społeczeństw nie są dostatki, lecz tylko chwywanie tych dostatków przez małą liczbę osób, a odpędzanie od nich większości. Niech w kraju nie kilka ludzi, ale wszyscy opływają w bogactwa, natenczas przez wszystkie klasy będzie rozlana oświata, delikatność uczuć, uznawanie prawdy, pogarda przestępstwa, a poszanowanie enoty. Bogactwa, kiedy są ogólne, natenczas nie błyszczą. W którychże to krajach ludzie lubią się stroić w brylanty, perły, kaleczyć sobie uszy, aby za nie zatknąć kawałek świecącego metalu? Oto w krajach dzikich, jak u Indyanów amerykańskich, albo w krajach niby to ucivilizowanych, lecz na barbarzyńskim stopniu rozwoju, jak u Turków. Gdzie atoli cywilizacja doszła wysokiego stopnia, tam nikt człowieka nie ceni podług tego, ile on może pokazać złota, jakim może świecić przepychem, ale tylko podług tego, ile sam wart, co leży w jego osobie. Można mieć bardzo pięknego konia, a być strasznym, mo-

żna mieć bardzo bystrego wyżła, a być wielkim nieukiem. Zaginęło w naszych czasach poszanowanie dla bogactwa; wyrównało się też tak życie, iż nikt lepiej mieszkać, jeść, ubierać się nawet nie potrafi od ludzi z wielkim lub małym majątkiem, skoro tylko stanowią tak zwaną klasę wykształconą. Ale niestety, ta klasa względem ludu stoi we wielkiej i ogromnej różnicy. Pomysły i wypadki XVIII. wieku rozbiły różnicę, która wynikała między ludźmi z prawa zbliżania się do tronu, ze wzmianek historycznych, z bogactwa przodków i własnego, ale nie naruszyły jeszcze różnicy w wychowaniu i oświacie. Ma zawsze większe poszanowanie professor wykładający na uniwersytecie język chiński, mało komu przydatny, aniżeli szewc, który sobie zasłużył na pierwszeństwo pomiędzy szwaczami w narodzie. Jeżeli obadwa równie są szlachetni, pracowici, nie da się wytłumaczyć ich różnica. Oczywiście, jest to zabytek jeszcze stary, że ludzi różniemy podług zatrudnienia, i tych zatrudnień nie uważamy w miarę pożyteczności dla narodu i ludzkości, ale w miarę godności uznawanej podług starego przyzwyczajenia. W Ameryce północnej doszło do tego, że pracowity rzemieślnik, rolnik a nawet sługa i wyrobnik potrafi sobie tyle zarobić, że może równo jeść z ludźmi bogatymi, równo się ubierać, o ile potrzeba do wygody, a nie błyskotek; równie może spędzać wieczór na zabawie, lub przy mniej kosztownym winie. — Stany Zjednoczone Ameryki, są najbogatszym krajem, który przedstawiała kiedykolwiek historia. Bogactwo tamtejsze nie przedstawia się jednakże w chowaniu mnóstwa pojazdów, koni, psów; w utrzymywaniu wielkich domów z otwartymi stołami;

w żywieniu czeready sług bez zatrudnienia, w przepysznych liberyach, w zbytkach przy uczcie. Bogactwo ogromne narodu zasada się na tém, że nie masz chaty bez dachu, że nie masz człowieka, coby na chleb tylko pracował, a przez cały rok nie jadł chleba. Narody, jeżeli chcą być szczęśliwe, odpowiadają celowi jaki Opatrzność wytknęła ludzkości, mają się starać o dostatki i bogactwa, lecz człowiek pojedynczy powinien tylko dążyć do utrzymania się na równi z drugimi. Mieli tedy nauczyciele religii, filozofowie, historycy prawdę, że bogactwa są szkodliwymi, ale nie umieli rozróżnić bogactwa jako przywileju w ręku małej liczby, od bogactwa w ręku wszystkich. Ta różnica jest niezmiernie ważną dla rodzaju ludzkiego, i kiedy się zastanowimy nad wszystkimi dzisiajszemi teoryami, sporami społecznymi, wypadkami najważniejszymi, to podobno postrzeżemy, iż one wszystkie kręcą się ciągle tylko koło tego, jak zapobieżć, aby nie było pojedynczych bogaczy, ale aby narody były niezmiernie bogatemi. Dotychczas ludzie, którzy w życiu praktycznym mieli imię przebiegłych finansistów i spekulantów, wiele razy rzucali nam swoją teorią, mówili: „patrzcie na Anglię!“ Patrzymy, więc niestety i wiemy, jak w Irlandyi tego roku padają gromady trupem na drogach i po ulicach z głodu. Nie stawiajcie nam już na wzór Anglii, bobyśmy musieli o was powiedzieć, iż jesteście ludźmi bez serca, a gra na giełdzie jest rzeczą ważniejszą, niż rodzaj ludzki, niż chrześcijaństwo.

## Panna respektowa.

POWIASTKA Z DOMOWEGO ŻYCIA.

przez L. SIEMIŃSKIEGO.

### I.

W staroświeckim pałacyku, na jednej z cichszych i ustronniejszych ulic Warszawy, mieszkała około roku 1820. podeszła matrona, wielce poważana od wszystkich, co ją znali. Nazywano ją powszechnie pania podczaszyną. Była to osoba starzej daty, znająca doskonale czasy i ludzi z epoki króla Poniatowskiego; przytém mająca się dobrze, zawsze jednostajnego humoru, lubiąca wiele mówić, zresztą nabożna i miłośnierna. Od śmierci pana podczaszego wiodła życie bardzo osobne i ciche; nie wychodziła, chyba do Śgo Krzyża na mszę, a u siebie przyjmowała tylko kilka osób, odwiecznych przyjaciół, którzy mieli przywilej grywać z nią po złotówce do puli w marjasza. Nie

stosując się do nowomodnych wymysłów, punkt o drugiej jadała obiad, o piątej piła kawę, o ósmiej zastawiano wieczerzę; a o dziesiątej już była w łóżku. Słowem, nietylko obyczaj, ale nawet ubiór zachowała staroświecki; nowe figury błyszczące na scenie świata, bynajmniej ją nie obchodziły; wolała godzinki odmawiać, niż czytywać gazety, lub słuchać brukowych nowin. Będąc z natury cokolwiek wielomówną, trzymała sobie od czasu swego wdowieństwa pannę respektową, której pierwszym obowiązkiem było, słuchać cierpliwie długich i szerokich opowiadań i andron. Owa panna respektowa, nie odstępowała jej ani na krok jeden, stała się prawie niezbędną przyjaciółką, najdroższym sprzętem w całym domu. Czy to na mszy, czy w staroświeckiej landarze w Łazienkach, czy przy kominku, widywano je nierozłączne. Panna Kunegunda miała od wszystkiego klucze, a nawet od szkatułki i sekretarzystki. Był to egzemplarz czterdziestoletni, wysoki, chudy jak szczypta, z ruchami mężczyzny, z grubym organem; złośliwi powiadali, że panna Kunegunda używała brzytwy, ale nie jestem tego zdania, bajka zapewne ztąd urosła, że gęsty, czarny meszek pokrywał jej wierzchnią wargę. Słowem, trudno było znaleźć szpetniejszą i niezdobniejszą towarzyszkę. Pani podczaszyna, osoba drobnego składu, wieszala się zwykle u ramienia panny Kunegundy, nazywając ją pieścizną swoją duszką, klejnocikiem, perełką, i dając się wodzić za nos niemiłosiernie. Panna Kunegunda posiadała najobszerniejsze zaufanie, tak w domowych jak innych sprawach; wiedząc zaś, że podczaszyna nie przepomniała o niej w testamencie, nie zaniebdywała wyjeżdżać publicznie i prywatnie z niezmiernym przywiązaniem i afektem do swojej dobrodziejki, za każdą o niej wzmianką zawracając w górę oczy przy wtórze głębokiego westchnienia. Nie obwijając w bawełnę, ale rzecz jasna, że panna Kunegunda, a nie podczaszyna, była rzeczywistą panią domu. Bo kiedy podczaszyna wcisnąwszy się w kącik swojej sofy, robiła podług zwyczaju pończoszkę, lub odmawiała różaniec, panna Kunegunda tymczasem szastała się po całym domu z ogromnym pękiem kluczy za pasem, trzaskała drzwiami, besztowała sługi, z kucharzem kłóciła się o obiad, targowała z kupcami, odbierała raporta od ekonomów i raty pieniężne od dzierzawców; ludzie ją nie cierpieli i bali się jak szatana. Jednakże władczyni nasza nie zawsze pojawiała się w tak groźnej postaci; trzeba ją było widzieć w godzinie obiadowej, kiedy się kompania zebrała, z jaką skruszoną minką i jak niziutko kłaniała się każdemu, jak trzymała się zawsze na boku, i jak to niby trzech zliczyć nie umiała. W kościele nikt żarliwiej niemożliw się od

niej, i niżej ócz nie spuszczał; a nieraz, kiedy zdarzyło się podczaszynie, która szczerze była pobożną, usnąć w ciągu kazania, panna Kunegunda trącała ją czémprędzej w łokieć, i srodze tém się gorszyła. — Zresztą podczaszyna nie mogła jak tylko unosić się nad domowemi przymiotami swojej respektowej, dzięki rygorowi, jaki zaprowadziła między służącymi, cały pałacyk wyglądał jak pieścidełko, nigdzie nie zobaczyłeś ani pyłka kurzu, ani plamy; wszędzie wymyto, wywoskowano; a sprzęty starannie ustawione, a bielizna stołowa biała jak śnieg, jadła dostatek, a wszystko smacznie zrobione i przyzwoicie podane. Czegóż więcej potrzeba, aby zostać królową rządnych gospodyń? — Podczaszyna, choć to nie szpaczkami karmiona, poznawała się jednak na niektórych ułomnościach panny Kunegundy; chociaż właściwie była to jedna z tych istot, które w całym życiu tylko na dobrém umieją się poznać, a złęgo nierozumieją, wołać je znosić, niż roztrząsać i ważyć. Zresztą nawyknienie miało na nią wpływ niezmierny; wszak to od lat piętnastu, codzień panna Kunegunda oddawała jej dzieńdobry, codzień piły ze sobą kawę, chodziły na mszę i na spacer — nawyknienie było tak wielkie, że choć panna Kunegunda i ofukła czasem podczaszynę, starszka stuliła tylko uszy, i nucąc po cichu jakąś odwieczną aryjkę z Axura, udawała, że jej gdyrań nie słyszy.

Nie nowe przysłowie o dzbanie, sprawdziło się na naszej respektowej; dziwnym zbiegiem wypadków wykryło się, że pomimo długoletniego ślepego zaufania, oszukiwała wszystkich, a mianowicie swoją panią i dobrodziejkę; albowiem nietylko utworzyła sobie stały dochodzik z pieniędzy przeznaczonych na potrzeby domu, lecz nadto a conto testamentu, przywłaszczała sobie to suknie, to bieliznę, a nawet niektóre klejnoty. Zwykle bezkarność ośmiela; otóż i ona posunęła swą śmiałość aż do zagrabienia pary kosztownych kuleców brylantowych, które od dawna spoczywały w jednej kryjówce sekretarzyka. Podczaszyna postrzegłszy szkodę, domyśliła się sprawy, lecz nie chciała w ręce sprawiedliwości oddawać tę, którą tak długo szlachetném obdarzała zaufaniem; dość jej było oddalić niegodną z oczu i pamięć jej wygluzować z serca. Po tém zdarzeniu znalazła się na nieszczęście tak samotną i opuszczoną, że biednej staruszce nieraz aż przychodziło do płaczu, i mimo całej swęj pobożności, nieprzestawała narzekać na kaprysy losu, który nie ma nawet względu na słodką, acz zgubną uludę.

Jeden z zażyłych przyjaciół podczaszyny, niegdyszambelan przy dworze króla Stanisława, zastawszy ją pewnego dnia w smutkach i kłopotach po stracie

towarzyszki, usiłował wesprzeć ją radą i pociechą: — nieszczęście — mówił on — jakie cię kochana kuzynko dotyka, byłoby nieodżałowane i nie do naprawy, gdyby dusza podobna twojej, miała wątpić, że jest jeszcze cnota i poczciwość na świecie. Aczkolwiek nierzadko zdarzają się istoty przewrotne i chytre, nie można téż przeczyć aby poczciwych i wiernych ludzi niebyło. Potrzeba postarać się o inną towarzyszkę; niebrać pierwszą lepszą co się nawinie, ale téż i niezbyt przebierać. Jeżeli cię raz oszukano, nie idzie zatém, aby miano oszukać powtórnie.

Na to podczaszyna: sądzą, że Waszmość mój szambelanie mówisz jak książka; lecz cóż pomoże, kiedy sobie poradzić nie jestem w stanie. Niewiem do kogo się tu udać w tym interesie. Chybabyś, drogi łaskawco sam się potrudził, i to tu, to owdzie wypytał, czy kto nie wie o jakiej osobie z dobrą konduitą, coby mię przynajmniej mogła w prowadzeniu domu wyręczyć? —

Szambelan przyrzekłszy święcie robić co będzie mógł, lubo niewiele był z temi stosunkami obeznany, jednakże tyle sprawił, że w parę dni nowa towarzyszka weszła w dom podczaszyny. Nie upłynęło sześć tygodni, a już podczaszyna obdarzyła ją całym swém zaufaniem i przyjaźnią; będąc z natury tyle łatwowierną i lekką, o ile dobrą. Nieszczęście jednak chciało, że po drugich sześciu tygodniach, trzeba było imościance drzwi pokazać. Otóż i drugi powód do zmartwień! Podczaszyna jakiś czas przebrała jeszcze w kilku paninach, i ciągle trafiając, jak to mówią: z deszczu pod rynew, straciła nakoniec zupełnie odwagę. Aż żal było widzieć tę poważną matronę samotną w kościele, na przechadzce, nieumiejącą sobie dać rady z regestrami i rachunkami, a wieczór siedzącą samą jedną przy kominku z założonemi rękoma i spuszczoną głową.

Najcięższą ze wszystkich dolegliwości była dla niej samotność; zdrowie jej, zawsze delikatne, pogorszyło się widocznie; i jakby czarna melancholia nawiedziła jej umysł, zwykle taki wesoły i żartobliwy.

Zapomniałem nadmienić, iż podczaszyna niebyła tak samotną w świecie, jakby się zrazu zdawało. Syn jej jednak, pan Stanisław, trzydziestoletni mężczyzna, wcześniej obrawszy zawód wojskowy, (bo i kampanie napoleońskie odbywał), stał pod tę porę o mil trzydzieści od Warszawy z drugim pułkiem ułanów, w którym miał stopień rotmistrza.

Biedna matka, widząc się tak opuszczoną, wyprawiała do niego list, opisujący mu swoje utrapienia i zaklinający, aby czémprędzej przybywał i radził.

Pan Stanisław, który był bardzo dobrym synem, podał o uwolnienie kilkomiesięczne od służby, i nie-

bawem otrzymał takowe. Lecz na nieszczęście, okolica, gdzie stał garnizonem, obfitowała w dziwnie urocze i powabne twarzyczki. Właśnie płał się był romansik bardzo tkliwy między naszym dziarskim ułanem a jedną z takich czarodziejek, która, ilekroć przyjeżdżał do niej z ostatniem pożegnaniem, zawsze umiała odjazd o jeden dzień odwlec, i tak odwlekań i ostatnich pożegnań było bez końca.

Tymczasem podczaszyna rozchorowała się. Przyszędłszy na świat z wesołym humorem, niemogła pogodzić się ze smutkiem, który dla niej istotną chorobą się stawał. Lekarz domowy tracił głowę, inni lekarze jeszcze mniej wiedzieli co radzić.

— Opuśćcie mnie moi panowie! — mówiła do nich cierpiąca — dajcie mi raz zamknąć oczy; wszystko com kiedy kochała, opuściło mię, więc też nie warto troskać się o to życie, które drugich tak mało obchodzi.

W całym domu osiadł jakiś smutek ponury, a razem zagaścił się największy nieład i niedbalstwo. Słudzy, widząc że ich pani niedługo pociągnie, a nie spodziewając się żadnej spuścizny, zaczęli źle służyć i niedbać o nią. Pokoje, niegdyś takie świeże, meble takie czyste, przypadły brudem i kurzem. — Och! moja Kundziu! wołała niekiedy podczaszyna. — Och! czemuż cię tutaj niema, dałabyś się we znaki tym hul-tajom.

Pewnego dnia, kiedy zdawało się, że ostatnia godzina dla niej wybije, z niemałym podziwem domowych, podniosła się, odsunęła pawilon i włożyła okulary. W rękę miała list który jęj przyniesiono. Odpieczętowawszy go, ujrzała ółtarz przyjaźni, a na nim dwoje serc płomiennych i innych parę emblematów. Charakter był starannie uformowany, choć duży, było to powinszowanie nowego roku, w tych wyrazach:

Jaśnie Wielmożna Pani i osobliwa Dobrodziejko!

„Biorę pióro, ażeby w imieniu całej mojej rodziny złożyć J. W. Pani życzenia nowego roku, który oby ci szczęście przyniósł i czerstwe a długie lata. — Wszyscy jedno ci życzym, i o jedno Boga najwyższego prosimy. Dowiedzieliśmy się, że J. W. Pani Dobrodziejka nasza jesteś cierpiącą, ale mamy nadzieję, że dobry Bóg modły nasze wysłucha, i że cię zachowa. Przy tej sposobności mama posyła J. W. Pani świeżego masła i powideł. Odemnie zaś, jako od chrestnej swojej córki, chciał J. W. Pani przyjąć pudełko śliwek na rożenkach, które sama urządałam. Zostaje J. W. Pani z największym respektem i przywiązaniem najuniżeńsza sługa“

*Magdalena Snopkiewiczówna.*

Podczaszyna odczytawszy list, posłała czempędzję prosić do siebie szambelana, któremu podyktowała odpowiedź. Nikt w domu nie wiedział co się święci; lecz gdy posłaniec ze wsi odjechał z nią, nasza chora stała się spokojniejszą, a w parę dni znowu tak wesola i zdrową jak za dobrych czasów.

## II.

Pan Snopkiewicz był to sobie szlachcic podlaski; urodził się na Podlasiu i nie myślał jak na Podlasiu umierać. Był to poczciwy, pracowity dzierzawca na jednej z wiosek podczaszyny; za młodu służywał u nieboszczyka podczaszego, a zebrawszy cokolwiek fortuny, poszedł na dzierzawę.

Zawołany gospodarz, w rodzaju tych, co wiedzą że w lecie ciepło, a w zimę zimno, i po czemu żyto lub pszenica płaci, nigdy krokiem nie ruszał się z domu, chyba do najbliższego miasteczka na jarmark, gdy potrzeba było kupować buty i kozuchy dla parobków. W Warszawie był razy dwa przed laty dwudziestu kilku, jakoż zawsze od wielkich uroczystości dawał opowiadania swych wrażeń z tój osobliwej podróży. Zre-sztą jako dobry sąsiad, poczciwy ojciec i mąż, sprawiedliwy dla ludzi pan, powszechny miał szacunek, i aczkolwiek w porównaniu z drugimi chudy pacholek, miał przecież takie poważanie, że i z bogatych dziedziców niejeden miałby być sobie za szczęście ustąpić część majątku za kęs pocziwój sławy pana Snopkiewicza.

Pani Snopkiewiczowa zawołana gospodyni na parę mil do koła, z najwcześniejszych kurcząt, z mnóstwa indyków wyprowadzanych na targi, z przeslicznych płócien i nici, z sérków owczych i wybornego nabiątu, w pocziwości w niczem nieustępowała swemu małżonkowi. Za młodu była to zapewne rzadko dobrana para; on barczysty i rosły z zawiesistym wąsem, ona mało co niższa z kwitnącemi policzki i tą błogosławioną okrągłością ciała, która znamionuje najczęścięj łagodny i spokojny umysł. Obopólny szacunek złączył ich oboje; za młodszych chwil mówili sobie: kochańcia i kochanko dziś poważniejsi: Jegomość i Jójmościni-niu. Z tego zespolenia się serc państwa Snopkiewiczów wyrosło się gęste plemię sześciu rosłych synalów, jeden w drugiego jak dęby. Wszyscy udali się ku pocieszce rodziców, a zazdrości sąsiadów. Dwóch średnich służyło w wojsku, czterech zostało się na gospodarstwie przy ojcu, każdy mając swój osobny departament; ten pilnował gorzelni, ów roli, inny jeździł z dostawami, a najpiśmienniejszy trzymał reje-

stra i załatwiał sprawy z urzędem. Nad wszystkimi czuwał pan ojciec.

Dla uzupełnienia tego familijnego obrazu przyszła na świat istota maluczka, zdrowa i świeża jak poziomka, było to siódme dziecko państwa Snopkiewiczów, Magdalena, którą nazywano Madziunią.

W porze naszej powieści, Madziunia miała dopiero szesnasty roczek; nosek troszkę zadarty, usta korlawe, odkrywające w uśmiechu dwa rzędy bielutkich ząbków, cera prawdziwa wiejska, ręczki jak utoczone, staniczek wcięty, przedstawiały w niej obraz uroczy i wesoły, dla tego też była źrenicą w oku całej rodziny, przedmiotem pieczęci rodzicielskich, i braterskich nadszkania. Stary ojciec ilekroć zmartwił się czém w gospodarstwie, zawsze wołał Magdusi, aby go pieczętami i figlami ze złego humoru wyleczyła; lekarstwo zawsze skutkowało; przeto raz miał: opatrność na moją pociechę musiała mi zesłać tę dziewczynę; zdaje mi się, że i na śmiertelnym łożu potrafiłaby mi w dobry humor wprowadzić.

Madziunia wyręczała w gospodarstwie swą matkę, która, aczkolwiek czerstwa i silna, usunęła się trochę na stronę, ażeby jedynaczkę zawczasu włożyć w tryb gospodarski; i miała słusność, bo choć Madziunia odebrała dość staranne wychowanie, żeby mogła pomyśleć i o jakim urzędniku z kommissyi wojewódzkiej, jednak pani Snopkiewiczowa uważała za pierwszy warunek, zrobić z niej dobrą i rządzą gospośnię, coby się znała i na kuchni, i na chowie drobiu, i na nabiale, zgoła na wszystkiem jak ona sama. Wracając się do wychowania, trzeba wiedzieć, że państwo Snopkiewiczowie mieli jakąś krewną w bliskim mieście, która trzymała pensyon panienek, tam tedy po długich naradach odważyli się oddać Magdusię. Po trzech latach pobytu w mieście, wyuczyła się niezłe pisać i czytać po polsku, cokolwiek jeografii, jeszcze mniej historyi, za to mitologją grecką i rzymską znała na palcach. Wróciwszy do domu po skończonej edukacyi, była wyrocznią okolicznych szlachcianek, zwłaszcza kiedy wpadła na tekst jowiszowych awantur. Z księdzem proboszczem miewała nawet dysputy w niektórych jeograficznych trudnościach. Słowem, miłe to stworzenie znalazło sposób, być razem i kochaną i podziwianą, co jest rzeczą nadzwyczaj trudną na świecie.

Wiadomo czytelnikom naszym, że Magdusia była chrestną córką podczaszyny, i że to właśnie od niej był ów list z powinszowaniem nowego roku, który ją nie mało kosztował pracy, nim został złożony i księdzu proboszczowi do aprobacyi podany. Owoż w skutek tego listu, podczaszyna przypomniałszy sobie Ma-

gdusię jako zgrabną i ładną dziewczkę, a przy tém wychowaną przez pocziwych rodziców, postanowiła wyprosić ją sobie u ojca, i wynieść do godności przyjaciółki i towarzyszki.

Pewnego dnia, kiedy pan Snopkiewicz, żona, wszystka dziatwa, czeladź i w dodatku ksiądz proboszcz gromadą wylegli na dziedziniec, przypatrując się jak pastuch dorzynał najlepszego wołu, który był nagle zachorował, i kiedy robiono różne wnioski i postrzeżenia o przyczynie tak nagłej choroby, a pan Snopkiewicz wylewał zły humor swój na niedbalstwo pastucha, który go o stratę najlepszego roboczego wołu przyprawił, zdarzyło się, iż właśnie jednokonnemi sarneczkami wjeżdżał przez wrota wracający z Warszawy umysłny postaniec.

— A jaka tam droga? zapytał pan Snopkiewicz.

— Jak po stole — odpowiedział umysłny.

— A pani podczaszyna jak się miewa?

— Ponoś niedomaga.

— Masz jaki odpis?

Tu postaniec wyjął z zanadru chustkę, i rozwinałszy takową, podał list panu Snopkiewiczowi, który obejrzał go tylko z wierzchu, zakreślił się niby za okularami, a postrzegłszy proboszcza, wręczył mu i prosił, aby głośno przeczytał. Po odczytaniu pierwszych wyrazów starzec przerwał: cóż się to roi naszej pani! wydierać mi moją Magdusię, moje najmilsze dziecko! — O! nigdy na to nie pozwolę. . . .

Na ten wykrzyk pocziwego ojca zbiegła się cała rodzina i zagrział chór wykrzykników; Magdusia tylko stała cokolwiek na boku, nie śmiejąc ani się ruszyć, ani spojrzeć. Po pierwszym wzburzeniu umysłów, nadeszła chwila głębokiego milczenia. Ksiądz proboszcz pierwszy głos zabrał, obchodząc zrazu z daleka, powoli zbliżał się do rzeszy, i zręcznie zaczął wyliczać wszystkie korzyści, jakie mogą spłynąć na Magdusię, jeżeli przyjmie propozycyą pani podczaszyny.

— Nie należy zapominać moi państwo — mówił proboszcz — że podczaszynie winniście substancyą waszą, że nietylko dobrą panią okazywała się dla was, ale przyjaciółką, i prawie zaciągnęła obowiązki pokrewieństwa, trzymając wam do chrztu św. to dziecię. Trzebaż jęj czémkolwiek okazać pamięć i wdzięczność, do kogoż się miała udać w strapieniu i osieroceniu swoim, jeżeli nie do tych, którym zawsze świadczyła, i o których przychylności ma tak dobre rozumienie? Zresztą miejcie wzgląd i na to, że się dziecku nielada los otwiera; a ty panie ojcie i matko możecie się niekłopotać o posag.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Literatura i Wolter.

Znane są listy Woltera z dzieł jego ogłoszonych, lecz dotąd nie spostrzeżliśmy skreślonego jego charakteru z dążności, jakie okazywał w swych dziełach. Cięży na nim, równie jak na wielu innych tak naszych jako i zagranicznych pisarzach wina wieku, nad którą wynieść się nie potrafili. Dostatecznym był dawniej odbłask talentu w pismach do sławy autora, dziś nie wytrzymałby ani na chwilę krytyki, wymagającej oprócz zdatności w pisarzach, wielkiej uczciwości i prawości w dążnościach. Dziś publiczność nie zadowala się odbłyskiem dowcipu, rozumu, jenuiszu, jeżeli ten nie czerpa swych sił i zasobów z pracy i dążności wieku, jeżeli nie jest wyrazem ducha narodu, wyzwającego się w kształty coraz doskonalsze. Każdy pyta, kto pisze, jakie jego życie, niech talent jego buja po sferach nadziemskich, niech się obwija w błyszczące szaty wyrazów, nikt go nie postucha, jeżeli życiem nie daje świadectwa słowu dążącemu ku uszczęśliwieniu ludzkości. Dziś literatura związana jest z życiem, a życie rozwojem wolności. Cóż powiemy o filozofie fernejkim, kiedy przeczytamy jego listy do niektórych głów ukoronowanych, napróżno szukać będziem w nim filozofa żyjącego dla ogółu, a natomiast znajdziem całą nitekczemość duszy, hipokryzyą, mającą ciągle na ustach szumne wyrazy: ludzkość i filozofia, a przedrwiwającą z nieszczęść upadającego narodu, urągającą własnej ojezynie.

Prawdziwie zdumieć się potrzeba, jakimi drogami Wolter potrafił tak opanować umysły, że go prawie jak bożyszcze czczono? byłże to wiek do tyła skażony, że lada błyskotki dowcipu, tak oslepiwały sąd dowcipu, iż niepostrzegał wszystkich sprośności, iż nie potępił tego szatana pychy, nadzianego najzakamienialszym samolubstwem; że za dobrą monetę brał blichtry jego, i wierzył szumnym deklamacyjom? Gdybyśmy chcieli dziś szukać ideału człowieka bez serca, szukajmy go w Wolterze, a lepiej jeszcze w jego korespondencyjach. Wyciąg niniejszy daję dla tych, co go jeszcze uważają za apostoła liberalizmu, za pryncypium destrukcyjne dawnego porządku — tacy niech się przekonają, że najgorszy dawny porządek, lepszym i wznioślejszym był stokroć, niż wszystko, co z tak brudnej duszy i z tak suchego serca wyjść mogło.

*(Dalszy ciąg tego artykułu niemoże być umieszczony.)*

## Wyspa Śtėj Heleny

w roku 1846.

*(Według opowiadań podróżującego Anglika.)*

Po długim pobycie w Indiach, postanowiłem z powodu nadwątlonego zdrowia powrócić do Europy. Nie było lepszej sposobności, jak puścić się w tę podróż, na przesłicznym brygu „Iris“, którym dowodził mój przyjaciel. Okrom bezpieczeństwa i wygod podczas przejazdu, spełniło się moje gorące życzenie odwiedzenia wyspy Śtėj Heleny, gdzie najpotężniejszy jenuisz wojenny naszego wieku cierpiał, gdzie wódz ostatnią walkę życia staczał, gdzie kości jego wyrwano z ostatniego spoczynku!

W dniu, w którym spodziewaliśmy się ujrzeć wyspę, kapitan H...gg i cała załoga okrętu wystąpiła w uroczyście ubiorach. Im żwawiej uchodziły godziny, tém stawał się kapitan poważniejszym, co chwila chwycił za dalekowiedz, a kiedy obaczył tę odludną wyspę, zdjął z głowy kapelusz i zawołał wzniosłym głosem: Sta Helena! Majtkowie zawołali: hurra!

Na pierwszy widok wyspa ta nadzwyczaj przykre czyni wrażenie. Z każdej strony spostrzega oko szare przepaściste skały, najeżone ze wszystkich stron małemi warowniami. Cały ten ład zdaje się, jakby spadł z obłoków. Niedaleko miasta James Town, leżącego w przyjemnej dolinie ściany skał podnoszą się na 700 stóp wysokości, a na lewej stronie znajduje się niezmierna drabina, która prowadzi aż na sam szczyt skały. Mało jest Europejczyków którzy byli w stanie bez odpoczynku wnieść na szczyt po tej spadzistej drabinie. Bariera znajduje się w całej długości tych skał, a mimo to nie jeden z pijanych majtków spadł i karku nakreślił z tej przepaści.

Miasto znajduje się w miłej dolinie otoczonej dwoma rzędami skał i jest powiększej części zamieszkałe przez Anglików i Portugalczyków. Trudno dociec zkąd się wzięli pierwotni tėj wyspy mieszkańce, według wiarogodnych dziejopisarzy, mają pochodzić z przyładku dobrej nadziei. Miasto nie ma w sobie żadnych osobliwości. Kościół, koszary, dom klubu, w którym się zbierają oficerowie pułku stojącego na tėj wyspie załoga, są najznakomitszemi budowlami.

Po przybyciu na tę wyspę odwiedziliśmy terazniejszego gubernatora, pułkownika Trelawney, który nas nader uprzejmie przyjął i przedstawił nam swe dwie piękne córki i zaprosił na obiad.

Ponieważ według zwyczaju angielskiego dopiero o 7. godzinie wieczorem miał być obiad, przetośmy korzystali z czasu i postanowiliśmy zwiedzić Longwood i grób Napoleona. Droga do ostatniego wije się przez pewien czas pomiędzy wysokimi i nagłymi skałami, aż nareszcie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej odkrywa się dolina prześliczna, która według życzenia zdobywcy miała obejmować szczątki jego. Słynna na całym świecie wierzba płacząca, która rzucała cień na grób Napoleona tak silnie zaczęła się korzeniami grobowiska, że ją trzeba było ścinać dla wydostania drogiej szczątków. Nie postarano się nawet o zasadzenie drugiej wierzby płaczącej lub przykrycia grobu wielkim kamieniem, którym był dawniej przywalony — tylko po schodach wstępuje się do miejsca, gdzie trumna złożoną była. Miejsce to teraz zapada. Na ten widok oddaliśmy hołd nieszczęściu i zgasłej wielkości. W bliskości tego miejsca wyrastają młode cyprysy, których nikt nie choduje, świeże czyste źródło ciągle tryska niedaleko ławki, na której zwykł był cesarz odpoczywać i krzepić ciało krynica. Lecz ani śladu niemasz owych kwiatów, które tu na jego rozkaz sadzono, wszystkie ozdoby rospadły się w tym miejscu jego odpoczynku, albo zostały zburzone dziką ręką, żadne oko niepielegnuje tej garstki ziemi, która zgasłemu tak była miłą i drogą.

Stary żołnierz pilnuje tego pamiętnego w dziejach miejsca i korzysta jak może najbardziej z ciekawych przychodniów, którzy muszą się jemu opłacać, on zaś wiele rzeczy opowiada o zmarłym bohaterze, nie zasługujących na wiarę, bo swe opowiadania stosuje do usposobień odwiedzających, a swoje powiastki Anglikom inaczej, Francuzom i innym inaczej skreśla. W swym domku przechowuje kilka kartek spisanych przez generała Bertranda z wielkich wypadków życia Napoleona. Katalog ten ma być dopełnieniem podań o jego życiu. Żona tego żołnierza była dawniej w służbie małżonki, generała Bertranda, a wdowiec posiada jeszcze po niej parę brylantowych zausznice, które w podarunku od niej otrzymała.

Po obejrzeniu grobu przejechaliśmy obok Plantin-House — mieszkania Hudson Lowego — do Longwood.

Co za przeciwieństwo! Serce każdego człowieka szlachetnego oburza się wyborem tych miejsc. Zamek gubernatora leży w miejscu uroczym, podobnym do kwitnącego parku szlachcica angielskiego. Przed zamkiem jest darnina zielona, dalej widok

przepyszny na niezmierzone morze, a bujny lasek w półkole otacza tył tego budynku. A teraz poryjmy na mieszkanie Napoleona. W najwilgotniejszej i najniezdrowszej części wyspy, wystawione na wszystkie burze i mgły zimne, znajduje się więzienie najpotężniejszego mocarza, który z tuileriiów świata przepisywał prawa. Zaniedbano cztery izdebki w tym nędznym pomieszkaniu. W izbie, gdzie cesarz ostatnie wydał technienie, znajdują się sprzęty rolnicze, miechy ze zbożem i t. d. Nagie ściany są zapisane nazwiskami i uwagami Francuzów satyrecznymi, które chłoszczą nielitościwie Anglików. Niektóre są bardzo dowcipne i dotkliwe, żaluje tylko, że podczas smutnego mego usposobienia nie zapisałem sobie niektórych dla pamięci.

Pokój sypialny Napoleona zamieniono na oborę.

Sadzawka za domem, nad którą zwykł się był przechadzać więzień w zamyśleniu, wyschła, a krzaki nad nią posadzone powyrywano; nigdzie ni śladu poszanowania pamięci męża nieśmiertelnego. Zdaje się nawet, jakoby lud angielski starał się tym sposobem zatrzeć nawet ślad nazwiska jego w dziejach. Ale na próżno! Prędzej wyspa Śtej Heleny zniknie.

O dwieście kroków od Longwood stoi krótko przed śmiercią jego wybudowany dom nowy, który równie jest wystawiony na burze nadbrzeżne, jak dawny. Napoleon raz tylko go odwiedził i przysiągł, że nogą w nim drugi raz nie postoi, ponieważ uwzględnienie żądań jego, kiedy czuł ościę śmierci w sobie, uważał za gorzką ironią. I dotrzymał słowa.

Po drugiej stronie Longwood znajduje się niezaludniona, ale piękna dolina, tam właśnie najstosowniejsze było miejsce na mieszkanie dla Napoleona. Hudson Lowe miałby tu nadto tę korzyść, że mógłby szpiegować każdy krok swojego dostojnego więźnia, ale wilgotne i niezdrowe powietrze w Longwood było sprzymierzeńcem wiernym do jego nieszczęścia.

W domu generała Bertranda mieszka teraz ekonom, dawny żołnierz w służbie angielskiej. Pokazują tam jeszcze włosy Napoleona, kawałek drzewa z trumny jego i billard, na którym grywał. W zasuwaniem oknie, z którego widok jest na ogród, widzimy wyrżnięcie otworu w drzewie, przez który ciekawi przypatrywali się niespostrzeżeni cesarzowi przechadzającemu się po ogrodzie.

W ostatnich latach swego życia był Napoleon nieprzystępnym i skrytym. Jeżeli go biedny spotkał i prosił o wsparcie, nie rzekł do niego ni słowa i rzucił złoty pieniądz na ziemię, by tylko nie rozmawiać.

Pokazują dziś jeszcze ścieżkę niezmiernie spadzistą prowadzącą do głębokiej doliny, po której nawet trudno zejść pieszo, na tej ścieżce puścił się galopem na koniu Napoleon, tak że cały orszak jego i oficer angielski zdumiał i niewiedział co począć. Lubo Napoleon elegancko nie jeździł na koniu, ale śmiało i mocno dosiedział na siodle, to też i w tym razie, żadnego nie poniósł szwanku i ku zadziwieniu wszystkich znaleziono go w domu bawiącego u stariej Angielki, którą zwykł był odwiedzać. Śmiało się niezmiernie z kłopotu angielskiego oficera, który o tym wypadku zawiadomił gubernatora: Napoleon uciekł!

## ROZMAITOŚCI.

Jeniusz nieprzechodzi w spadku na dzieci, w historii nieznajdujemy ani jednego przykładu dwóch prawdziwie jeniałnych ludzi w jednej rodzinie. Zdaje się jednak, że syn sławnej George Sand będzie wyborynym malarzem. Podziwiano na jednej wystawie obrazów w Paryżu, dwa obrazy przedstawiające pole bitwy młodego Maurycego Dudevant.

— W Pompei odkryto znów niektóre zajmujące przedmioty, pomiędzy innemi apoteozę Homera, który otoczony Iliadą i Odysseą siedzi na tronie.

— Ze sprawozdania architekta Franciszka Mertens pokazuje się, że sławny kościół St. Lorenzo w Medyolanie, został wybudowany przez Maxymiana Herkuliusza, współrządcy cesarza Dioklecjana, między 285 — 303 po Chrystusie i przeznaczony nie na kościół, lecz na publiczne kąpiele. Główna nawa kościoła, była dawniej salą kąpielową.

## M O D Y.

Paryż, dnia 2. Stycznia 1847.

Najulubieńszym kolorem w ubiorach na ranne wzięcie, jest wanilowy lub brunatno mahoniowy. — Kolor ten wybornie odpowiada do ciemno niebieskich, czarnych lub ciemnozielonych płaszczy. Staniki u tych prostych sukien, o których tu wspominamy, powinny wysoko zachodzić i być gładko lub we fałdy ułożone; rękawy u nich są długie, u dołu spięte, a pod łokciem ściągane. Garnirunek u stanika powinien się ten sam powtarzać, co na powłoce.

We formach sukien przeznaczonych na wieczory i do teatru, zachodzi wielka różnorodność. Staniki zawsze są gładkie, powinny się z przodu otwierać, rękawy półdługie i z pod nich dwa podrękawki tulowe wyglądają; a mimo swęj krótkości, są wycięte w kształt podkowy lub wyłogów muszkieterskich. Niektóre są przecięte na ramionach i kokardami z wstążek wiązane lub też sznurowane sznurkiem kończącym się na kutasy.

Na pewnym balu widzieliśmy następujące ubiory: suknia krepowa w jasno-kukurydzowym kolorze, orzuciona tulem illuzyjnym w wodę ułożonym, z prawej strony utrzymuje ten garnitur bukiet małych kwiatów, wyrobionych z niebieskiego aksamitu, drugi podobny bukiet znajdował się na lewo w tém miejscu, gdzie pierwsza zaczynała się woda. U stanika była berta, orzuciona w trzy wody i girlanda z podobnych kwiatów złożona, jak na powłoce i staniku, wiła się pomiędzy włosami na głowie.

Drugi ubiór składał się z dwóch powłok z tulu pomonowo zielonego, na spodnicy z podobnej kitajki. Pierwsza powłoka była zupełnie gładka, druga podjęta w pewnych odległościach podwójnemi rolkami atłasowemi, z których każda kończyła się w rozetkę z atłasowej wstążki. Stanik był udrapowany i małeńkie rękawy tak ujęte, iż się zakończyły na ramieniu w atłasową rólkę. Girlanda z różowych kwiateczków i z liścia trzciniowego na głowie, dopełniała tego ubioru balowego.

Widzieliśmy niedawno girlandy diamentowe, przedstawiające świętojanki i liście, a w jednej chwili można ją było rozebrać na szpilki do stanika, na szpinki do naramiennic, a jeszcze znaczny sznur pozostał, który mógł głowę ozdobić.

Do najmilszych ozdób policzają kunsztowne naramiennice ze złota i platyny. Podziwialiśmy szczególniej jedną, wystawiającą zbrojnego rycerza, spoczywającego na zieloném liściu.

## Objaśnienie ryciny.

1. Płaszcz krótki. Frak z wązkiemi połami. Krawat biały. Pikowa kamizelka. Trzewiki.
2. Strój głowy, z jednym kwiatem. Suknia z lekkiej tkaniny z wyciętym stanikiem i bertą koronkową. Krótkie rękawy.
3. Strój głowy z czarnych koronek i róż. Suknia z włoskiej kitajki, orzuciona dwiema falbanami z czarnych koronek. U rękawów ankaszanty koronkowe.